

JEAN
D'ORMESSON



WIECZORNY
WIATR



Świat i jego historia zataczają koło; to Javier Romero przywiózł mi pewnego wiosennego wieczoru do San Miniato wiadomość o śmierci Pandory. Był przepiękny dzień. Od samego rana, ledwie uchylono okiennice, przestrzeń i czas wypełniła swoista przejrzystość. Za sprawą jednego z tych mechanizmów oczywistych, a zagadkowych bezchmurne niebo niosło obietnicę szczęścia. Nie zdążył zapaść zmrok, a cały szmat mojego życia legł w gruzach. Zjawił się Javier, postawił bagaże, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział: „Pandora nie żyje”. Świat się zakołysał. Zerwał się wieczorny wiatr.

Javier przyjechał z Londynu. Siedem czy osiem godzin wcześniej brał udział w pogrzebie. Obecne na nim były oczywiście Atalanta i Vanessa, Javier razem z braćmi i wszyscy, których zdołano w porę zawiadomić, ponieważ mieszkali w Londynie. Reszta, tak jak ja, dowiedziała się o jej odejściu dużo później. Na widok tylu różnych osób, często nawet się nieznających, powiązanych ze sobą jedynie osobą zmarłej, będącej już tylko wspomnieniem, Javirowi wydało się, że czuje mroczną rojność świata, którego ogniskiem i epicentrum może stać się kolejno każdy. Dla wielu z nas sprawy takie jak przyjemność, wesołość, nadzieja, pewna szczególna klarowność dni – a często nocy – wiązały się z Pandorą. I wiele rzeczy wraz z nią umierało.

Za pośrednictwem Javiera przysłuchiwałem się modłom za zmarłych w londyńskim kościele, o którym nie wiedziałem nic, nawet tego, pod jakim jest wezwaniem. I poprzez twarze i łzy tych, co ją wspominali, odsłaniała się przeszłość, która dla mnie oraz paru innych była niemal wszystkim, a z której nie zostało prawie nic.

Tego wieczoru długo siedzieliśmy z Javierem na tarasie wielkiego domu, rozmawiając o Pandorze. Rozmawialiśmy? Sam nie wiem. Chyba raczej milczeliśmy. Była bezksiężycowa noc. Nad naszymi głowami jasno świeciły i migotały gwiazdy. Obaj pogrążeni byliśmy we własnych wspomnieniach, równoległych i bliźniaczych. Od czasu do czasu kilka krótkich słów przerzucało między nami pomost. I tak chaotycznie i w nierównym tempie przedzieraliśmy się poprzez gęste pokłady przeszłości. Nasze żywoty na nowo wskrzeszone przecinały się, rozchodziły, zniecka wplatały się w historię świata. Kiedy zapadła głęboka noc, a może już się nawet kończyła, i Javier poszedł spać, przyniosłem kuferek pełen starych listów, fotografii, map postrzępionych od częstego używania, przewodników po Grecji, Meksyku czy Indiach, pełnych notatek, z powtykanymi między stronice luźnymi kartkami. Na chybił trafił, jak skąpiec sięgający po klejnoty, złote monety czy drogocenne kamienie, wyjąłem plik zdjęć i pakiet listów. Potem poszedłem do sypialni i rzuciłem się na łóżko.

Domieszka rosyjskiej krwi jeszcze nikomu nie wyszła na złe. Jedno z odgałęzień historii, która właśnie dobiegła końca, wiązało się z osobą jeszcze młodego mężczyzny

z kruczoczarną brodą, w długim, wciętym w talii płaszczu i futrzanej czapie, opierającego się w nonszalanckiej pozie o piękne francuskie biurko z połowy lub końca XVIII wieku: nazywał się on Piotr Wasiliewicz Wroński i właśnie na niego patrzyłem. Jak przystało na wielkiego magnata, liberała rzuconego w wiry rosyjskiego absolutyzmu, miał w swojej rodzinie wszystkich: dziadka ambasadora w Teheranie i Londynie, wuja zabitego przez Francuzów pod Borodino, ojca dekabrystę zesłanego na Syberię, ekscentryczną matkę, o której się bez przerwy mówiło, brata żyjącego z dala od Rosji na zesłaniu politycznym, połączonym z kolejnymi kuracjami w niemieckich uzdrowiskach oraz burzliwymi romansami w cieniu kasyn, gdzie trwoniono fortuny, z anglosaskimi awanturnikami i śpiewaczkami operowymi. Jeszcze w sto lat po jego śmierci w sklepach i archiwach Karlowych Warów, wtedy jeszcze nazywanych Carlsbadem, oraz w Baden-Baden natknąć się można było na ślady – ja również je odnalazłem – jego pobytu i amorów.

Ludzkie marzenia i wspomnienia nigdy się nie kończą. Można było cofnąć się o wiele głębiej w niezmierną przeszłość Wrońskiego. Poszukując przodków Piotra Wasiliewicza w moich sporadycznych badaniach historyka amatora i świadka cudzych żywotów, odbywałem podróże wstecz przez historię. Podczas tych wypraw spotykałem cały świat. W gruncie rzeczy uważałem, że niezależnie od punktu wyjścia, choćby nie wiem jak niejasnego, jak skromnego, jak złudnego, u kresu drogi ujrzę przed sobą te same niezmiernie perspektywy. Niekiedy dla zabawy brałem, powiedzmy strażnika z florenckiego muzeum,

górnika z zagłębia Ruhry, prowincjonalną szwaczkę czy bejsbolistę z Los Angeles i wyobrażałem sobie ich losy w czasie i przestrzeni; dość szybko dochodziło się wtedy do wojny trzydziestoletniej, do wypraw krzyżowych, do wielkich kompanii handlowych, do książąt Świętego Cesarstwa, do towarzyszy Krzysztofa Kolumba. Piotr Wasiliewicz stanowił przypadek uprzywilejowany. Wraz z nim pojawiali się zaraz Orłowie, Naryszkinowie, Wołkońscy, Dołgorucy. Zdawać by się mogło, że w kierunku odwrotnym, zgodnie z biegiem czasu cała historia świętej Rosji i trzeciego Rzymu – czyli Moskwy sprzed Sankt Petersburga – do niego prowadzi. Trwoniał ją na przyjęciach, na podróżach do Wenecji i Nicei, na utopijnym spiskowaniu w obronie wolności prasy, na szlachetne i niedorzeczne mrzonki, niczego absolutnie niezmieniające. Ze swoją czarną brodą i aksamitnym spojrzeniem Piotr Wasiliewicz był zapóźnionym zagorzałym romantykiem, dość nawet ujmującym, i zupełnie bezproduktywnym.

Gdzieś w połowie stulecia między Weroną a Mediolanem Wroński spotkał swoje bożyszcze: był nim Verdi. Autor *Traviaty* uosabiał to wszystko, czego biedny Piotr tak bardzo pragnął dla siebie. Odgrywał ogromną rolę w historii swoich czasów, oklaskiwały go tłumy, lgnęły do niego wszystkie serca i był genialny. Tego dnia, kiedy Wroński ujrzał ze swojej podróźnej berlinki wypisane na murach barwy ochry któregoś z wielkich miast włoskich oraz na drewnianej bramie pałacu w Weronie czy Vicenzie pięć liter składających się na nazwisko przyjaciela: VERDI, poczuł lekki zawrót głowy od sławy i dumy, jaka za pośrednictwem tamtego i jemu się udzieliła. Nie wiedział

jeszcze, że liberałowie i nacjonaści wykorzystywali litery nazwiska kompozytora do gry słów: *Viva Emmanuele Red'italia!* Wziął ów napis za to, czym w istocie też i był, choć tłem jego była polityczna propaganda: za hołd złożony sztuce, sławie i geniuszowi.

„Jestem przyjacielem wielkiego człowieka”, pomyślał Wroński w swoim powozie. I już wtedy był zdecydowany niczego nie odmawiać jednemu geniuszowi, jakiego w życiu spotkał.

Tej nocy kiepsko spałem. Po mojej głowie harcowali w zapamiętałej sarabandzie Wroński, Pandora, Atalanta, Jessica, Vanessa i czterej bracia Romerowie. Ścigali się przez epoki, płasali do upadłego wokół planety. Śladem ich kroków, ich ustami i rękami dokonywały się wojny, krachy, rewolucje, epidemie, przemiany w obyczajach i w modzie. Nazajutrz w Toskanii i Umbrii nadal panowała piękna pogoda. Od czasu do czasu w oddali po niebie przemykały maleńkie obłoki. Przywodziły mi na myśl Wrońskiego i Pandorę pośród oceanu czasu. Javier jeszcze spał. Z butelką szampana poszedłem go obudzić.

– Spodobałoby się to Vanessie – powiedział, otwierając zaspane oczy.

– Za zdrowie Vanessy – rzekłem – jej sióstr i ich kochanków.

Słońce stało już wysoko na niebie, co tak lubiliśmy na Korfu, w Amorgos, w Puerto Vallarta, w Angra dos Reis, w Santa Barbara, w Ravello, na Simi. I wypiliśmy za swoje zdrowie oraz zdrowie wielu innych.

Kilka lat później w Wiedniu Franciszka Józefa i cesarzowej Sissi, niedawno przybyłej ze swej rodzinnej Bawarii, Piotr Wasiliewicz stał się bohaterem przygody, co do której rodzina oraz znajomi nie bardzo wiedzieli, jak się ustosunkować: oburzać się czy cieszyć. U schyłku panowania Napoleona III do sławnej rodziny Naryszkinów z Sankt Petersburga przyjechała w charakterze lektorki i nauczycielki francuskiego pewna młoda Francuzka, córka zrujnowanej szlachetki z Charentes oraz siostrzenicy arcybiskupa, bohaterki przygód, o których może kiedyś wam opowiem. Nazywała się Marie de Cossigny. Była młodziutką, pełną nieco płochliwego uroku blondynką o zielonych oczach, ciemniejących pod wpływem emocji. Po upływie kilku miesięcy we francuskiej lektorce zakochali się na zabój przedstawiciele dwóch kolejnych pokoleń Naryszkinów, wuj i siostrzeniec. Wuj nie zajmował się niczym. Siostrzeniec był porucznikiem w Prieobrażenskim Pułku. I nastąpiło to, do czego, jak stara Europa długa i szeroka, dochodziło zwykle w owych czasach w rodzinach z tego środowiska: stłumione pogłoski, plotki, skryte poruszenie, zbiorowe emocje, nagły alarm i narada rodzinna. W początkach naszego stulecia Marie, siwowłosa dama w jedwabnych rękawiczkach i z wąską czarną aksamitką na szyi, niekiedy w chwilach wylewności wspominała z uśmiechem i bliska też – jeszcze i ja miałem okazję być powiernikiem tych szeptem czynionych wyznań – scenę, która w owym czasie musiała wyglądać dość niewesoło dla młodej bohaterki w roli oskarżonej.

– Mademoiselle – mierząc z oburzeniem palcem w kierunku dziewczyny, mówiła babka, z domu Orłow, leciwa

dama, sucha, a zarazem krągła, urodzona za Katarzyny II, promowana do godnej pozazdroszczenia roli prokuratora generalnego – jak mogła pani pozwolić sprowadzić się z prostej drogi własnym instynktom i tak zaniedbać swoje powinności, pani, którą z ufnością przyjęła nasza solidarna niegdyś rodzina?

– Madame – odpowiadała Marie, obrzucając zalęknionym spojrzeniem czerwone obicia ścian obwieszonych obrazami w wielkim salonie Naryszkinów, który nigdy jeszcze nie wydawał jej się równie olbrzymi i majestatyczny – nigdy nie pozwoliłam sprowadzić się z prostej drogi żadnej osobie z pani dostojnego rodu. Nie wiem, jak się mają do mnie instynkty i powinności licznych jego członków. Osobiście nie mam sobie nic do zarzucenia – dodawała dumnie, a zarazem z kokieteryą z miejsca zaszkabiając cichą aprobatę wszystkich obecnych mężczyzn. – Jestem, jaka jestem, i sumienie mam czyste.

– Mademoiselle – podejmowała babka – jest pani niebezpieczna dla tej rodziny.

– Madame – odpowiadała na to Marie – a może to ta rodzina jest niebezpieczna dla mnie?

Sprawy zwykle okazują się prostsze, niżby się mogło zdawać, a zarazem bardziej skomplikowane. Korzenie i konsekwencje nawet najbłahszej z nich mogą sięgać nieraz bardzo głęboko. Ale wystarczy znaleźć właściwy klucz, by wszystkie zamki stanęły otworem. Jeśli Marie de Cossigny, lektorka francuskiego w Sankt Petersburgu, rzeczywiście pozostała nieczuła na podwójną presję aż dwóch generacji Naryszkinów, to dlatego że bez reszty zaprzętała ją inna miłość. I to ona właśnie, skrywana,

lecz łatwa do odgadnięcia, sekretna, lecz przez to jeszcze bardziej drażniąca, wystarczyła, by rozniecić namiętność wuja i siostrzeńca.

Kim był mężczyzna, który zwycięsko stawiał czoło świetności nazwiska i fortuny Naryszkinów? Ogrodnikiem. Nie bardzo wiadomo, jaką właściwie pozycję zajmował ówże ogrodnik. W końcu Le Nôtre i Russell Page, i niezrównani Vilmorinowie też na swój sposób byli ogrodnikami. Czy ten od Marie de Cossigny był kimś w rodzaju zarządcy, architekta pejzażu, artysty czy też zwykłym wyrobnikiem? Tak czy inaczej, był mężczyzną przystojnym i hardego ducha. Ciekawiło mnie, co zgotowała mu przyszłość. Socjalista i konspirator – skończył na Syberii jako gruźlik lub skazaniec. Czy Marie de Cossigny, zostawszy Marie Wrońską, dowiedziała się kiedykolwiek o tragicznym losie swojego pierwszego kochanka? Tego też nie wiem; nie miałem śmiałości jej o to zapytać. O historii świata, nawet o historii tych, których znałem, nie wiem prawie nic.

Przypuszczam, że w tym miejscu należałoby odtworzyć bodaj pozór scenerii i opisać Sankt Petersburg z połowy ubiegłego wieku: jego salony, jego aleje, jego bojarów i muzyków, jego mieszczaństwo bogacące się na przemyśle włókienniczym, na handlu cukrem lub zbożem – z którego wywodzić się będą Szczukinowie i Morozowowie, a ich sławne kolekcje dadzą początek muzeum w Leningradzie – jego intelektualistów i artystów, malarzy i pisarzy, jak Turgieniew czy Gogol. Jeszcze w sześćdziesiąt lat później Marie de Cossigny pamiętała będzie, że podobnie jak wielu innych, zwolenników absolutyzmu bądź liberalizmu, sło-

wianofilów bądź sympatyków Zachodu, spotykała ich na rautach u Naryszkinów czy gdzie indziej. Ale te skromne fantazje o wydarzeniach minionych, choć przecież w pewien zagadkowy sposób wciąż obecnych, bo opowiadam wam o nich, a wy mnie słuchacie, niewarte są aż takiego zachodu. Na użytek swój oraz garstki innych wskrzeszam tylko niektóre cienie.

Był koniec wiosny. Słońce stało wysoko na niebie. Pośród rozgrzanych kamieni i drzew oliwnych Toskanii spacerowaliśmy po drodze do Pienzy. Między nas wślizgnęła się trzecia postać – nasza przeszłość. We troje prowadziliśmy rozmowę, wspólnie zagłębiając się w nieistniejące już światy. Podróżowaliśmy do Nowego Jorku, do Niemiec, do Polski, do Brazylii. Do Republiki Weimarskiej, w te cudowne czasy, kiedy argentyńskie peso miało równowartość franka szwajcarskiego, odwiedzaliśmy czarny tydzień na Wall Street i carską Rosję. Wyruszyliśmy w podróż do naszej młodości, która tak dawno już minęła. A za nami ze śmiechem podążyły cienie czterech sióstr.

Na początku drugiej połowy XIX wieku, w czasach, kiedy panowanie królowej Wiktorii rozciągało się na niemalą część kuli ziemskiej od Kanady po Indie i Australię, a w przyszłości obejmie również Afrykę Południową i Nową Zelandię, pewnym niewielkim, nowo powstałym w Ameryce Południowej krajem, Paragwajem, rządził despota będący za sprawą swoiście przewrotnego cudu spadkobiercą porywających idei Bolívara, *Libertadora*.

Na czele bandy opryszków, zorganizowanych w policję i wojsko, terroryzował ludność i systematycznie ją łupił. W ciągu zaledwie kilku lat zdołał zgromadzić pokaźną fortunę ulokowaną na kontach bankowych, w nieruchomościach, ziemi, dzierżawach i kopalniach na terytorium Paragwaju oraz korzystnie zainwestowaną u paryskich i londyńskich Rothschildów. Od czasu do czasu, przed objęciem władzy i po nim, dyktator odwiedzał Europę, by odetchnąć atmosferą cyganerii, odwiedzić krawców i burdele, wyciął dłonie światowych dam oraz wygłosić odczyty w Salamance i Heidelbergu na temat pokoju i wolności.

Podczas jednej z wypraw do Paryża ów wielki człowiek o przylizanych włosach, bujnych, podkręconych wąsach, z ostrym jak brzytwa akcentem, o miedzianej cerze odziedziczonej po babce Indiance, uprowadzonej na płaskowyżu przez katalońskiego lichwiarza, zaproszony został mniej lub bardziej oficjalnie przez służby protokolarne, dbające o dobre samopoczucie cudzoziemców, do odwiedzenia Folies-Bergère. Działo się to na dwadzieścia lub trzydzieści lat przed tym, nim Bel-Ami Maupassanta w przerwie między absyntem i grenadyną, między szybkim uściskiem z Clotilde de Marelle i interesowną wizytą u pani Forestier, spotka tam na dziedzińcu Rachel. Paragwajczyk poznał dziewczkę z Maubeuge, jasną blondynkę lekko przy kości, piękność w stylu flamandzkim lub, jeśli wolicie, weneckim. Miała na imię Madeleine. Wołano na nią Mado. On przechrzczył ją na Asunción. Spodobali się sobie. I przez Miami, Hawanę i Limę zawiózł ją ze sobą do Paragwaju.

Najpierw umieścił ją w Villarica, później w Encarnación, gdzie miał wielki dom, piękny i stosunkowo dyskretny, z dwoma patiami pełnymi wspaniałych roślin. Nudziła się. Nawiązała kilka miłostek z przyjaciółmi dyktatora, dość, by rozniecić w nim zazdrość, nie wywołując przy tym gniewu. Po upływie kilku miesięcy sprowadził ją do siebie. Triumfowała. Ale tego było jej jeszcze mało. Mierzyła wyżej. Chciała więcej.

Marie de Cossigny musiała opuścić Sankt Petersburg zawstydzona i przybita. Z nakazu dostojnej wdowy w prześwietnej rodzinie Naryszkinów z powrotem samoistnie zapanował porządek. Przez jakiś czas wuj i siostrzeniec z tchórzostwem cechującym mężczyzn w sprawach serca pilnie się unikali, a spotkawszy się, robili wszystko, byle o niczym nie mówić. Pewnego wieczoru pięć albo sześć lat później, oparci plecami o kominek czy spacerując po ogrodzie z kieliszkiem koniaku lub wódki w ręku, odbyli długą rozmowę o swojej wspólnej miłości.

Uśmiali się przy tym co nie miara, choć nie bez pewnego wzruszenia. A wychyliwszy osiem lub dziesięć kieliszków na pamiątkę tych dni strasznych a szczęśliwych, padli sobie w ramiona, mamrocząc coś bez ładu i składu.

Marie jechała przez Kijów i Budapeszt do Wiednia. Była to okropna podróż. Historie miłosne nazbyt często kończą się problemami finansowymi. Nim utopili w alkoholu i śmiechu swoją rywalizację, czułe wspominki i wyrzuty sumienia, obaj Naryszkinowie, wuj i siostrzeniec, na wyścigi nalegali, jeden w tajemnicy przed drugim, by Marie zechciała przyjąć od nich sumę wystar-

czającą na przeżycie kilku najbliższych miesięcy, a nawet lat. Odmówiła. Z powodu pogardy, jaką darzyła seniorkę rodu Naryszkinów, lub może na przekór jej, zgodziła się w końcu przyjąć niewielką sumę, którą ta niemal na siłę wcisnęła jej do torby podróżnej. Najbardziej bolało ją upokorzenie. Gdyby nie jej pozycja, było nie było podrzędna, lektorki francuskiego, perspektywa podwójnego romansu z wujem i siostrzeńcem przedstawiałyby się nader barwnie i zgoła inaczej. Nikt by jej za to nie potępił. Byłaby to komedyjka w guście ubiegłego wieku, czarująca i wesoła idylla, zabawna anegdota, którą można by sobie opowiadać w gronie przyjaciółek, tłumiąc chichoty. Ponieważ była biedna i obca pośród bezgranicznie bogatych Rosjan, pełnych poczucia wyższości z racji zajmowanej pozycji, komedia zamieniła się w dramat. Mniej więcej w tym samym czasie w ręce Marie wpadła książka, wtedy jeszcze nie tak sławna jak dzisiaj: *Czerwone i czarne*. Przeczytała ją z bijącym sercem, odkrywając między Julianem Sorelem i sobą niemało powinowactw serca i umysłu. „Ach, gdybym była mężczyzną...” – myślała. I oczyma wyobraźni widziała się, jak przeistoczona w nauczyciela, z pistoletem w kieszeni, lub też w porucznika kozaków czy gwardii, z peleryną na ramionach i szpadą u boku, w trakcie niezliczonych przygód pośród rosyjskich śniegów niepostrzeżenie zmieniających się w scenerię Paryża lub Verrières, stawia czoło starej księżnej z domu Orłów i obu Naryszkinom, dziwnym trafem wyposażonym jeden w rysy dojrzałej, choć wciąż jeszcze atrakcyjnej kobiety, drugi – młodej trzpiotki, odgrywającej rolę siostrzenicy.

W Wiedniu panna de Cossigny spotkała przyjaciół rodziny. Pamiętacie, jak przez długie stulecia, po sam koniec XIX wieku, funkcjonował świat tej grupy ludzi, dla których pieniądze nie były wszystkim: tworzył go system cichych, niebywale skomplikowanych i subtelnych powiązań, a przede wszystkim pokrewieństw. Rodzinę Marie i rodzinę Herbignaców z Charentes, od piętnastu lat osiadłych w Wiedniu, łączyła rozgałęziona sieć koneksji rodzinnych i sąsiedzkich. Powitali ją jak własną córkę. Zatrzymała się w ich domu. Zastępowali jej rodzinę. Po tylu przejściach na nowo odkrywała jeśli nie szczęście, to w każdym razie komfort. Wygnanka luksusu z Rosji za panowania Aleksandra II, emigrantka mimo woli w podwójnej monarchii, nadal zdominowanej wspomnieniem po Metternichu, zraniona przez życie i tajone namiętności – Marie de Cossigny naprawdę potrzebowała nieco spokoju i zbytku, ponieważ oczekiwała dziecka.

Jakże ja nienawidziłem kiedyś tego Javiera Romery! Widok jego wysokiej, lekko pochylonej pod wpływem wieku postaci, kroczącej obok mnie wieczorną porą po białej drodze z Pienzy do Montepulciano, znów ożywił we mnie wspomnienie ataków tamtej wściekłości, której już nie czułem. Wszystko, co podobało mi się w nim teraz, jego wygląd, jego poczucie humoru uważałem kiedyś za odrażające. Im bardziej był czarujący, tym mocniej go nienawidziłem. Wspominałem te długie noce w Nowym Jorku czy Buenos Aires, kiedy życzyłem mu śmierci, a niekiedy wręcz główkowałem, jak do niej doprowadzić. Odwrotnie niż mówi przysłowie, zemstę należy wymie-

rząć, póki jest gorąca, a jeszcze lepiej paląca; zbyt długo z nią zwlekając, ryzykuje się, że utraci smak. Nie pojmowałem, jak i dlaczego tak namiętnie pragnąłem kiedyś jego ruiny, nieszczęścia, wypadku samochodowego, nieodwołalnego końca. Moja nienawiść umarła; pamiętałem o niej jeszcze, ale już jej nie czułem. Darzyłem go serdecznością tak wielką, że obejmowała ona nawet wspomnienie tej antypatii, której odwrotność cechował urok i spokój. Z rozbawieniem i niedowierzaniem zastanawiałem się nad powodami bez mała zbrodniczego wzburzenia, które przed dwudziestu pięciu laty w Ameryce przyprawiało mnie rankami o bezdenną rozpacz, o dreszcz odrazy, zniecierpliwienia i gniewu.

Znów widziałem, jak stoję przed nim pobladły, z zaciśniętymi szczękami i rozbitą butelką w dłoni, a potem jak sczepieni w uścisku niemal miłosnym, pośród krzyków przestraszonych par tarzamy się po opustoszałym nagle parkiecie, na którym jeszcze przed chwilą tańczyli kryminaliści, bankierzy, pseudodyplomaci, wesołe panienki i światowe damy. Ach, oczywiście, jak zawsze to samo: pieniądze, władza, seks... W przypadku nas obu, uwięzionych w okowach własnych sprzeczności, otoczonych trupami naszych wielkich nadziei i bateriami butelek whisky, chodziło o seks. Ale my określaliśmy to inaczej. Nazywaliśmy to miłością.

Do czasów pierwszej wojny światowej, może nawet do drugiej, Ameryka leżała jeszcze bardzo daleko od jedyne go centrum świata, Europy. Ze swoimi imperiami i fetami, ze swoimi potężnymi armiami rwącymi się do konfrontacji,

z tradycjami sięgającymi znacznie poza narodziny przemyśłu, którym zawdzięczała drugi czy trzeci przyływ natchnienia i nową młodość, Europa chętnie wyobrażała sobie, że obecny stan rzeczy trwać będzie wiecznie. Od czasu do czasu wstrząsały nią rozruchy o zasięgu ogólnym bądź lokalnym i wtedy całe grupy ludności – protestanci, Żydzi, Irlandczycy, Polacy, Węgrzy – wkraczały na drogę rewolty, a niekiedy emigracji.

Gdzieś około połowy XIX wieku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Wroński w Weronie czy Mediolanie przeżywał taką fascynację Verdim, Żydzi z okolic Lublina wiedli niełatwy żywot. Wprawdzie pogromy nie osiągnęły wtedy jeszcze tego stopnia perfekcji, co w sto lat później, ale prześladowania, choć dopiero raczkujące, ciągle szykany ze strony władz, lekceważenie okazywane przez niemalą część ludności skazywały Żydów na życie w izolacji, którą chcąc nie chcąc spożytkowywali na kultywowanie w nienaruszonej formie swoich zwyczajów, tradycji, stylu życia oraz religii. W liczącym kilkuset mieszkańców miasteczku, sztetlu aszkenazyjczyków, leżącym jakieś sześćdziesiąt czy osiemdziesiąt wiorst od Lublina, rabin Finkelstein cieszył się opinią uczonego męża i odgrywał rolę patriarchy. Wielki wielbiciel rabiego Loewa, który w przyszłości zainspiruje Jorge Luisa Borgesa, fanatyczny zwolennik rabiego Israela ben Eliezera oraz chasydyzmu, od dwóch stuleci rozprzestrzeniającego się na całą Europę Środkową, Izaak Finkelstein w swojej koszuli bez kołnierzyka, jak zwykle białej i jak zwykle brudnej, w jedynym, jaki posiadał, czarnym chalcie, z pejsami człowieka pobożnego i w nieśmiertel-

nym, okrągłym, zda się przyrośniętym mu na zawsze do głowy kapeluszu, był uosobieniem dumy i pokory. Nikt tak jak on, z takim sercem, nie recytował kadiszu w starej synagodze. Ślepo posłuszny naukom Tory i Miszny, lektor i wytrawny komentator Talmudu, rabin, którego domu strzegła tradycyjna mezuzah oraz złota moneta przymocowana do pierwszego stopnia schodów, uważał się za człowieka sprawiedliwego i czystego oraz za sługę bożego. Jego dewizą mogłyby być słowa pewnego hiszpańskiego kardynała z końca XV wieku: „Względem skromności nikt mi nie dorówna”. Rabin Finkelstein, żyjący w świecie tłumnie wypełnionym aniołami i duchami, ożywionym przez sefiroty, czerpiący niezawodne oparcie u Najwyższego, którego niewysłowione imię przenikało cały wszechświat, był kimś w rodzaju czystego i uczonego czarodzieja, na którym z takim powodzeniem wzorował się Izaak Bashevis Singer w swoich co najmniej dwóch opowiadaniach, między innymi w *Koronie z piór*.

Rabin Finkelstein posiadał niezwykle liczną rodzinę, przysparzającą mu wielu strapień: miał cztery córki i sześciu synów, nie licząc tych dzieci, które pomarły przedwcześnie bądź nie zdołały sforsować niebezpiecznego progu narodzin. Stół w kuchni Finkelsteinów na rubieżach Polski w połowie XIX wieku stanowił swego rodzaju paradygmat nieśmiertelnej rodziny. Jeszcze w pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat później, w przededniu lub nazajutrz po pierwszej wojnie światowej Jeremiasz Finkelstein z rozczuleniem powracał myślą do tego wielkiego drewnianego stołu, nakrytego obrusem, ze świeczkami zapalonymi z okazji świąt Purim, Jom Kippur czy Rosz Hasza-

na, przy którym rabin Finkelstein odmawiał modlitwy za zmarłych i z zamkniętymi oczami śpiewał psalmy. Stół ten był odbiciem i symbolem wszystkich rodzin świata, od uczt Salomona i królowej Saby poczynając, przez gody w Kanie, wielkie pijaństwa wikingów wypływających na Sycylię lub do Anglii, na Labrador i Grenlandię, na *asados* gauczów, którzy na argentyńskich pampach piekli nad ogniskiem barany i jagnięta, kończąc. Ja sam nieraz myślałem o posiłku Finkelsteinów spod Lublina, opisując sceny z rodzinno-książęcego życia starego Sosteniusza de Plessis-Vaudreuila w *My, z łaski Boga*. Obu patriarchów związanych z potomkami – jeden z potomkami proroków Starego Testamentu, drugi parów monarchii – dzielił margines tak niewielki, że trzeba było dopiero wszystkich antysemickich fobii, by zamienić go w przepaść, która pochłonęła tyle ofiar.

Czwarty syn rabina Finkelsteina miał na imię Jeremiasz. Podobnie jak ojciec, choć w inny sposób, był marzycielem. Zdarzało mu się wejść na wzgórze czy przysiąść w lesie po to tylko, żeby uciąć sobie drzemkę. Ale w snach zwidływały mu się dalekie, obce kraje, niezwykle i niepojęte przygody, bogactwa, walki, namiętności oraz tłumy mężczyzn i kobiet, jakich nigdy nie widziało się w okolicach Lublina ani nawet w samym tym wielkim, pełnym niespodzianek i cudowności mieście.

Przez cały dzień w słońcu, przez całą noc bez Pandory, której nie było już wśród nas, rozmyślałem o przeszłości. Gdzież ona była, ta przeszłość na zawsze minioną, której strzępy daremnie próbowałem ocalić, docierająca do mnie

niemal wyłącznie za pośrednictwem książek, opowieści i cudzych wspomnień? Nie spotkałem nigdy Verdiego ani Wrońskiego, ani rodziców Marie de Cossigny, ani obojga Herbignaców, ani Naryszkinów, ani Izaaka Finkelsteina, ani Metternicha, ani Ludwika Filipa, ani paragwajskiego dyktatora. Nie dałbym głowy, że rzeczywiście istnieli. Żyli we mnie takim samym życiem jak Ulisses, Desdemona, Manon Lescaut czy Cyd – życiem wyobrażonym, ja zaś nie wiedziałem o nich nic, znałem tylko krążące o nich legendy. Nawet ci, z którymi się zetknąłem, byli już starcami, kiedy ich poznałem. Ale o ich młodości opowiadano mi z tyloma szczegółami i tak barwnie, z takim zaangażowaniem wyobrażałem sobie ich życie, że wydawało mi się, iż rozpoznałbym ich, gdyby cudem jakimś nagle się przede mną pojawili. Marie jeszcze jako panna, zielonooka, z jasnymi, grzecznie upiętymi włosami, o wypukłym czole i drobnych stopach; Wroński, niezależnie od wieku zawsze w swojej nieśmiertelnej futrzanej pelisie, z czupryną kędzierzawych włosów, z białymi, szczupłymi dłońmi; dwunasto- czy czternastoletni Jeremiasz Finkelstein o naiwnym spojrzeniu, z rozwichrzonymi włosami, o krótkich, nieskoordynowanych ruchach – nie spotkałem ich nigdy, ale wydawało mi się, że widzę ich niemal równie wyraźnie, jak Javiera kroczącego obok mnie drogą z Pienzy czy żywo i z humorem rozmawiającego ze mną na tarasie w San Miniato.

Cała ta przeszłość, znana czy nieznaną, bezsprzecznie istniała. Zastanawianie się nad rzeczywistym istnieniem Metternicha czy Wrońskiego to szkolne ćwiczenie, w pełni usprawiedliwione – tyle że nikt nie uwierzy

w jego użyteczność. Świat istnieje i ludzie istnieją, a to, że są nieobecni i że już ich nie widzimy, to za mało, by przestali istnieć. Współcześni Piotrowi Wasiliewiczowi Wiktor Hugo i Karol Marks podążali każdy swoją drogą i fakt, że się nie znali, nie przeszkadzał żadnemu z tej trójki wieść własnego niezależnego życia. Sprawy zaczynają się komplikować dopiero z chwilą śmierci – dokąd trafił Hugo? Dokąd trafił Wroński? – a jeszcze bardziej w przypadku zdumiewającej większości zmarłych anonimowo, o których historia nie pamięta; a już najbardziej, gdy w grę wchodzi sekrety i tajemnice, których nikt nigdy nie poznał. Co stało się z nieznanym sprawcą niewykrytej zbrodni? Co stało się z bezimiennym bohaterem przygód już wyjściowo utajonych i sekretnych? Jeśli nie we wspomnieniu, to gdzieś w przeszłości drzemą ukryte skarby, których całość składa się na naszą historię.

Piotr Wasiliewicz, Marie, Jeremiasz, Pandora i jej siostry żyli nadal – tym szczególnym życiem, jakie kreują wspomnienie i wyobraźnia. O Piotrze Wasiliewiczu, Jeremiaszu w Polsce, młodości Marie wiedziałem tylko tyle, ile opowiedziały mi cztery siostry, Marie, już wtedy sędziwa, oraz paru innych świadków tej zamierzchłej epoki. Teraz, kiedy Pandora odeszła, a inni są nieobecni lub zabrała ich śmierć, nie zostało już prawie nic z tych opowieści podejmowanych wciąż na nowo i nigdy niekończonych. Odtworzeni na podstawie wspomnień po wspomnieniach, podpierani i uzupełniani wysiłkiem wyobraźni Wrońscy i Finkelsteinowie mającą gdzieś na odległych horyzontach; a ja, który nie wiem o nich prawie nic, wspominam, by mogli żyć dalej.

Sto lat temu, może dwieście, w każdym razie nie więcej niż trzysta, krótko mówiąc w pewnym bliżej nieokreślonym momencie swojej nieznannej historii przodkowie Florindy przybyli, wiadomo, z Afryki. Wystarczyło cofnąć się o pięć czy sześć pokoleń, no, najdalej o siedem czy osiem, a można było mieć pewność, że niemal wszędzie napotka się mężczyzn i kobiety urodzonych i mieszkających kiedyś w Afryce. Ale trudniej już ustalić, czym się tam zajmowali. Czy byli wojownikami, szamanami, myśliwymi, kupcami, rolnikami, może wodzami, a nawet władcami? Horyzont czasu zasnuwała gęsta mgła. Szwajcarskim wieśniakom, drobnej szlachcie francuskiej, angielskim marynarzom, niemieckim bankierom, Żydom z Portugalii i Egiptu zdarza się niekiedy wiedzieć co nieco o swoich pradziadkach i prapradziadkach. Brazylijscy Murzyni nie są aż tak oświeceni. Jedyne, co wiedzą na pewno, to to, że w okresie między XVI i XVIII wiekiem przebyli Atlantyk w ładowniach statków z nogami skutymi łańcuchami. Tym sposobem cofają się w przeszłość – o której nie wiedzą zupełnie nic, z wyjątkiem tego, że na pewno była koszmarna – dalej niż wielu europejskich mieszczan.

Florinda posiadała własny tytuł do dumy: była czarnoskórą kobietą z Bahii, z Bahii de Todos os Santos, zwanej także Salvadorem. Nie chciałbym, żebyście pomyśleli, że zabawiam się w tych wspomnieniach w jakieś literackie referencje, ale tak się już składa – i cóż na to poradzę? – że tak jak rabin Finkelstein potrafił zainteresować sobą Singera, tak i krewni Florindy, ona sama oraz jej otoczenie dostarczyły inspiracji pisarzowi Jorge Amadzie, tak zawsze ciekawemu scenerii i ludzi z Bahii, oraz socjologowi

Gilbertowi Freyre'owi, autorowi *Panów i niewolników* oraz *Ziemi cukru*. Nietrudno ich zrozumieć. Florinda była bowiem w rzeczy samej zadziwiającym stworzeniem, a w jej osobie w pełni dochodził do głosu wesoły i leniwy duch jej rasy.

Matka Florindy była niewolnicą i Florinda również urodziła się w niewoli. Widziała, w każdym razie w najbliższym otoczeniu, nędzę, tortury, straszliwy ścisk slumsów i sławetne *pelourinho*, do którego panowie przywiązywali zbuntowanych niewolników. Jeszcze przed ustawą z 1888 roku znoszącą w Brazylii niewolnictwo jej pan, wielki posiadacz ziemski z Nordeste, zaprzyjaźniony z cesarzem, niespodziewanie ją uwolnił – być może wypełniając śluby złożone na wojnie z Paragwajem, gdzie został ciężko ranny. Miała trzydzieści, trzydzieści pięć lat; nikt dobrze nie pamiętał, w którym roku się urodziła. Na co dzień nie odczuła jakoś specjalnie zmiany swojego statusu. Nadal pracowała dla tej samej rodziny, tyle że teraz w zamian za kilka monet wypłacanych jej bardzo nieregularnie. Później, kiedy z uwagi na nieopisane potworności niewolnictwo zostanie zniesione, przytaczać się będzie liczne przykłady gwałtownych zmian, jakie nowy ustrój spowodował w życiu bardziej panów niż niewolników, niejednokrotnie kończących się ruiną, a w każdym razie buntem przeciwko monarchii. Bogaci często znacznie oporniej akceptują utratę przywilejów niż biedni fakt istnienia tychże. Florindzie nie przyszłoby do głowy opuścić ludzi, którzy przez długie lata okazywali jej – na miarę swoich możliwości – tyle dobroci i do których tak się przywiązała, że stanąwszy wobec przyszłości raptem otwierającej przed nią

wachlarz zda się nieograniczonych możliwości i wyborów, poczuła niemal lęk przed wolnością. W Bahii opowiadano, że przerażona tą nową kondycją Florinda zaproponowała swojej pani dalszą służbę bez żadnego wynagrodzenia. Do walki klas było jeszcze daleko: musiała to być uroczą tropikalna scenka w stylu Greuze'a z domieszką *Chaty wuja Toma* i przyprawiona sosem à la *Paweł i Wirginia*. Tak zaczęła się legenda Florindy.

W sercu podwójnej monarchii cesarstwa austro-węgierskiego – *k und k*, jak mówiono: *kaiserlich und königlich*, cesarsko-królewskiej – Marie de Cossigny z mieszanymi uczuciami lęku i spokoju zastanawiała się nad przyszłością. Nadal bywała z Paulem i Hortense Herbignacami, towarzyszyła im do opery i na pokazy *Spanische Reitschule*, gdzie od dwustu czy trzystu lat jeźdźcy w brązowych mundurach demonstrowali piruety na swoich sławnych lipizanach, piła z przyjaciółmi czekoladę z bitą śmietaną w modnych herbaciarniach, poprzedniczkach słynnego Sachera, niekiedy nawet brała udział w dworskich balach w Hofburgu, na których podejmowała cudzoziemców cesarzowa Elżbieta, sławna Sissi z bawarskiej krainy jezior i lasów, na kilka lat przed wielkimi katastrofami i swoją śmiercią z ręki włoskiego anarchisty nad Jeziorem Genewskim.

Owczesna Austria przypominała portret, jaki naszkicował jej Musil w *Człowieku bez właściwości* i Joseph Roth w *Marszu Radetzky'ego*. Wciąż jeszcze opierała się siłom przyszłości, które przeobrażając ją, spowodują jej rozpad. W Pradze Franz Kafka, Austriak, ale też Czech i Żyd,

a z imienia również Niemiec, ubogi, wyniszczony gruźlik i geniusz, schwyta i załamie ostatnie promienie gasnącej gwiazdy. W Wiedniu doktor Freud, ostatnie ucieleśnienie wielkich mitów Zachodu, nowoczesna wersja doktora Fausta, zdobywającego praktykę na Don Juanie, wypełni grą światłocieni stoczony przez robactwo przybytek równowagi i milczenia. Następcy kompozytorów i malarzy dworskich: Schönberg i Alban Berg w muzyce, Klimt i Kokoschka w malarstwie obwieszczą narodziny nowego świata w najstarszym ze światów. Austro-Węgry z końca ubiegłego wieku tworzą system zasadzający się na namiętnościach. Maskujący, zamykający usta, zachowawczy. Język niemiecki pokrywa werniksem jedności języki węgierski, czeski, serbski, chorwacki, częściowo rumuński, polski i włoski, spełniając tę samą funkcję, co angielski na obszarach od płaskowyżów Assamu po Rzekę Świętego Wawrzyńca, od Kenii po Tasmanię. Białogóra, wąwozy Macedonii, Dolomity to Przełęczę Chajberskie monarchii dwugłowego orła. Podobnie jak imperializm rosyjski, a później radziecki, arystokracja austriacka ma swoje kolonie pod ręką, tak jak angielska – za morzami. W Wiedniu rządy sprawuje armia, którą uosabia cesarz; w Londynie prym wiedzie Navy, uosabiana przez królową. W pałacach pełnych białych mundurów trwają tańce na przyszłych rewoltach, o których pewne pojęcie i których przedsmak dał już rok 1848. Pogłoski o nich próbuje się zagłuszyć walcami Straussa, ukryć pod piórami dwurożnych kapeluszy, kasków i wachlarzy. Dunaj, główny filar i symbol pozornej jedności, przecinający Europę od niemieckich wyżyn po ujście do Morza Czarnego,

unoszą w swoim nurcie po trochu wszystko: niemiecką nostalgię, madziarskie horyzonty, słowiańskie rozterki, łacińskie aspiracje. Cesarski Wiedeń jest jednym z centrów Europy, która leży w epicentrum świata.

Marie mówiła sobie, że mogłaby ewentualnie żyć pośród tej układanki, z dzieckiem czy bez. Z dała od rodzinnych stron Charentes mogłaby być Rosjanką. Wyobrażała sobie siebie jako Niemkę, Węgierkę, Włoszkę, może nawet Serbkę. Właściwie czemu nie? Wyjechałaby do jednego z tych zakątków, które wciąż jeszcze były Austrią, choć przestały już nią być – może do Tyrolu lub któregoś z tych kurortów, gdzie czas raz na zawsze stanął w miejscu? Od Hortense Herbignac, zwanej przez przyjaciół Hachache, jednej z tych kobiet, których główną racją istnienia jest oddawanie przysług innym i zajmowanie się nimi, dopóki swoimi radami i dobrocią kompletnie nie zatrują im życia, zdobyła adres Cyganki, z pomocy której korzystali zabójczo sentymentalni oficerowie w białych mundurach, kiedy trzeba było ratować z opresji kochanki.

– Ale po co ci ten adres? – pytała Hortense, która o niczym nie wiedziała.

– Zawsze może się przydać – odpowiadała Marie, śmiejąc się trochę zbyt głośno nad filiżanką czekolady z wielką ilością bitej śmietany.

– Tobie? – chciała wiedzieć Hortense.

– Niewykluczone, że mnie. Albo innym.

– Ejże! Przecież nikogo tu nie znasz.

– Gdybym nikogo nie znała, nie byłby mi potrzebny.

– Ale, ale... powiedz mi tylko... – zaczęła Hortense z dziwnym uśmiechem.

– Nie wiem – wyszeptała Marie. – Nie wiem...

– Marie, moje ty biedactwo... – zawołała Hortense, ujmując ją za rękę, a wtedy ona, u kresu sił, wybuchnęła płaczem.

Kiedy tylko Marie – słynąca z apetytu, który nie opuszczał jej nawet w najczarniejszych chwilach – dopiła czekoladę, Hortense przejęła w swoje ręce los nowej przyjaciółki, której odtąd jedynym zadaniem było żyć. Z dzieckiem czy bez, wciąż nie wiedziała. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia: była przy niej Hortense, Hortense się wszystkim zajęła.

Asunción dość szybko udało się ponawiać znajomości z ministrami, członkami trybunału sprawiedliwości, obszarnikami, bankierami, wielkimi hurtownikami. Dobywając z własnej, skądinąd całkiem zasobnej sakiewki kilkaset pesos, pozyskała sobie księży i zakonnice. Uchodziła za hojną i litościwą dla ubogich. Przyzwyczajono się do jej obecności w pałacu rządowym na kolacjach w wąskim gronie, na uroczystościach z udziałem pań z towarzystwa, na dobroczynnych wentach na rzecz ofiar katastrof naturalnych, służących za parawan i alibi w obliczu katastrof społecznych. W niedzielę u boku kochanka uczestniczyła we mszy w katedrze. Nieraz widywano, jak osłonięta szalem obserwuje zza żaluzji publiczne egzekucje. W tym pylistym mieście, gdzie pałace słońce przeplatało się z ulewnymi deszczami, szeptano, że to ona decyduje o karze śmierci lub ułaskawieniu. Krążyły słuchy, że Generalísimo, zbawca ojczyzny i dożywotni prezydent, dzieli się z nią władzą.

Kolejnym etapem było ściślejsze włączenie się Asunción z Maubeuge w działania rządu. Zachowując milczenie, wzięła udział w kilku posiedzeniach rady ministrów oraz reprezentowała dyktatora na imprezach ludowych. Wszystko szło jak z płatka. Nauczyła się hiszpańskiego, zasmakowała we władzy, a Paragwajczycy byli zachwyceni, że jest blondynką. I została już tylko jedna rzecz, zakłócająca harmonię całości obrazu: cudzoziemcy, a w szczególności dyplomaci akredytowani w Paragwaju, którzy, świadomi własnego znaczenia, nie pozwalali sobą manipulować tak łatwo jak notable, ministrowie, sędziowie czy obszarnicy. Mówiło się, że konsulowie i sekretarze ambasad otwarcie podkpiwają sobie z Mado z Villarica, dziewczki z Maubeuge, która dostąpiła takiego Wniebowzięcia*. Podczas kolacyjek w męskim gronie konsul francuski chętnie przytaczał anegdotę, jak to podczas swojego ostatniego urlopu spotkał się w Paryżu z pewnym kapitanem dragonów, bywalcem Folies-Bergère. Panowie szybko przeszli do wspominków i rozmowa zeszała na Mado z Maubeuge.

– A niech mnie! Z tego, co pamiętam... Ta Mado to dopiero był numer!

– Nie zna pan przypadkiem też i dyktatora Paragwaju?

– zadał ostrożne pytanie konsul.

– Osobiście nie, ale to kompan z pułku.

– Kompan z pułku? – powtórzył konsul z niejakim zdziwieniem, bo pierwsze słyszał, żeby prezydent służył kiedykolwiek w armii francuskiej.

– A tak, byliśmy w jednym korpusie.

* Po hiszpańsku: Asunción.

Te oraz inne dykteryjki, o których donosili rządowi szpicle, dotarły w końcu do uszu prezydenckiej pary. Nie wywarły korzystnego wrażenia. Dyktator musiał stawić czoło scenie urządzonej przez Asunción, która skarżyła się, że różni dowcipnisie mieszają ją z błotem, a tymczasem jej własny kochanek, jak się okazuje, nie potrafi sobie z nimi poradzić. Zagroziła, że wyjedzie z Paragwaju i wróci do Paryża, gdzie, jak twierdziła, mężczyźni tylko czekają, by udowodnić jej swoją odwagę i przychyłność. Nieprzytomny z wściekłości i upokorzenia prezydent postanowił pójść na całego. Pułkownikowi, który był szefem protokołu oraz mistrzem ceremonii, polecił zwołać dyplomatów akredytowanych u Ojca Ojczyzny i powiadomić ich o jego decyzjach.

To chyba właśnie tego wieczoru po śmierci Pandory, wróciwszy z przechadzki po pokrytych kurzem drogach Toskanii w towarzystwie widm i Javiera Romery, wpadłem na pomysł, by napisać coś o czterech siostrach O'Shaughnessy. Od kilku lat nic nowego nie wydałem. I nie bez powodu. Przeogromna masa nowych książek napełniała mnie zniechęceniem, na które jedynym lekarstwem był milczenie. Zmierzamy ku czasom, mówiłem sobie, kiedy pisarzy będzie więcej niż czytelników i kiedy, pośród całej tej powodzi memuarów sportowców i biznesmenów, sporządzanych pod publikę *dossiers*, zręcznie preparowanych książek kucharskich z przeznaczeniem na jesienne weekendy lub pikniki na plaży jedynie kilka niepospolitych umysłów upojonych literaturą oprze się chęci nazywania się pisarzami. Powodowany słabością pozwoliłem sobie na

napisanie około setki stron o zmyślonych żywotach, jakie mógłbym prowadzić. I nawet nie musiałem ich niszczyć, jak to robią dobrzy autorzy. Po prostu gdzieś je zapodziałem. Poniewierają się pewnie teraz w szufladzie jakiejś komody lub w starej walizce. Przeciwności losu i kłopoty oddaliły mnie od ojczyzny. Włochy i Toskania mimo nacjonalizmu gospodarczego i kontroli wymiany walutowej raz jeszcze stały mi się pociechą i azylem. Od czasu do czasu posyłałem do Paryża jakiś artykuł, poza tym jednak wiodłem życie wypełnione lekturą, w którym przeszłość zajmowała więcej miejsca niż przyszłość.

Z dala od zgiełku wielkich miast mój dom w San Miniato, między Montepulciano i Pienzą, był prosty i piękny. Wielkie domostwo barwy ochry, z zielonymi okiennicami, starą bramą pośrodku, do której wiodło kilka stopni, i dwiema przysadzistymi wieżami po obu bokach. Nie było tu morza ani rozległego ogrodu, posągów ani fontann. Ale obok tarasu, na którym spędzałem – pisząc, czyli nie robiąc nic – najpiękniejsze chwile, rosły dwa cyprysy i trochę winorośli. Nie zamierzam opisywać San Miniato ani Pienzy, ani Montepulciano, ani umbryjskiej i toskańskiej prowincji, które były dla mnie przeżywanym wciąż od nowa szczęściem. Jak będziecie mieli ochotę, jedźcie i sami zobaczcie. Do czego gorąco was namawiam. Opisy mnie nudzą. Często je przeskakuję. W książkach interesują mnie przecie wszystkim ludzkie losy oraz ta – jakby to powiedzieć? – ta pewna jakość czasu, której nie są w stanie oddać sami tylko historycy.

Została mi garść wspomnień z własnego życia oraz strzępki opowieści o cudownych czasach, w których ży-

liśmy. Niekiedy w zimowe wieczory przepowiadałem je sobie, oddając się marzeniom przy kominku lub spacerując po dworze wśród drzew oliwnych. Owe wspomnienia i opowieści, rozproszone i przypadkowe, wyłaniając się raptem spod pokładów przeszłości, tworzyły coś na kształt pełnego luk i kraterów krajobrazu, przenoszącego mnie na chybił trafił na różne kontynenty i w minione lata. Pojawiały się przede mną obrazy z Brazylii i Nowego Jorku, z Włoch Mussoliniego i hitlerowskiej Bawarii, Hongkongu zawieszono między dwoma światami, Szkocji zastygłej w bezruchu i Irlandii jak zawsze w ogniu; łączyła je ze sobą sekretna więź mojej wyobraźni. Minął ledwie wiek, może nawet mniej, i oto żyjemy w świecie, w którym nie ma żadnych „gdzie indziej”. Za pośrednictwem nas samych, za pośrednictwem tych, których znamy, za pośrednictwem gazet i obrazów, jednym słowem, za pośrednictwem historii, przeszłość każdego z nas – i nasza przyszłość – wykracza daleko poza miejsce naszego urodzenia i zamieszkania. Na co dzień równie dobrze możemy żyć w Libanie, w Kongu, w Chinach, na płaskowyżach Boliwii, równinach nad Mekongiem, jak i w Plessis-lez-Vaudreuil czy Saint-Chély-d'Apcher. Magiczny i posępny kalejdoskop pamięci i wyobraźni rekonstruuje okruchy nas samych, i przestrzeń, i czas.

Plessis-Vaudreuilowie, moja rodzina, o której wspominałem tu i ówdzie, odgrywali w moim życiu znaczną, a bawiła, że i przytłaczającą rolę. Utrzymywane na dystans przez wszelkie możliwe bastiony tradycji świat i jego historia tylko czekały, by wymierzyć zemstę i dopaść mnie ze wszystkich stron. Docierały do mnie fragmentami,

chaotycznie, pod różnymi pretekstami i przy różnych okazjach, aż wreszcie nieoczekiwane nieszczęście powiązało między sobą owe błędne obrazy. Nagle ułożyły się w jedną całość jak na tych dziecinnych obrazkach, na których dostrzega się znienacka ukrytego wśród liści kota lub królika. Śmierć Pandory stawiała w centrum świata – takiego w każdym razie, za jaki ja go uważałem, tego, w którym żyłem – promienny obraz czterech sióstr O'Shaughnessy.

Hortense, rozsądna Hortense, skrywała tajemnicę. Jej mąż, Gustave Herbignac, urodzony w Niort za panowania Ludwika XVIII, już w bardzo młodym wieku wzbogacił się na handlu koniakami. Interesy zawiodły go do Lizbo-ny, gdzie od Portugalczyków nauczył się, jak sprzedawać porto, i do Londynu, gdzie od Anglików nauczył się, jak je pić. Przez trzydzieści czy czterdzieści lat żył tylko jedną myślą, ale to ona zadecydowała o całym jego życiu: dlaczego katolicycy rycerze imperium austriackiego nie mieliby polubić tego, co od stu lat, a konkretnie od traktatu Methuena, dostarczało takich rozkoszy protestanckim marynarzom imperium brytyjskiego? Za porto poszła whisky, szampan, koniak. Znaczna część tego, co z namaszczeniem i niezamierzoną żartobliwością nazywał handlem spirytualiami, w podwójnej monarchii austro-węgierskiej przechodziła przez jego ręce. Osiadły w Wiedniu u schyłku monarchii lipcowej czy też w początkach Drugiego Cesarstwa Gustave Herbignac był jednym z tych zażywnych mieszczan, wielbicieli *Nędzników* i zagorzałych wrogów Komuny Paryskiej, którzy w późniejszych latach, kierując się przekonaniem oraz troską o interesy, opowiedzieli się

za konserwatywną Republiką i zwykle rzadko opuszczali granice kraju ojczystego. On sam uważał, że porywa się na awanturnicze, graniczące wręcz z lekkomyślnością życie, gdy postanowił osiedlić się w Wiedniu, gdzie w odległości dwudziestu minut drogi kareta od centrum i od Hofburga zajmował wielki, wygodny dom – *gemütlich*, jak sam mówił – w którym zatrudnił węgierskich stangretów i francuskie pokojówki. Interesy sprawiały, że utrzymywał kontakty z całą arystokracją austriacką i węgierską, która – nieco *hochnäsigt*, co było innym powiedzonkiem Gustave'a – z rozbawieniem i poczuciem pobłażliwej wyższości uważała go za skrzyżowanie właściciela jakiegoś ogromnego *bistrot* z nowoczesnym wydaniem mieszczanina-dżentelmena. Ze swoim monoklem, czarną, starannie przystrzyżoną bródką, noszącą czasem ślady po wytwornych kolacjach, na których podejmowano go bardziej z powodu urody i wdzięku żony niż jego własnych zasług, w czarnym surducie nie najprzedniejszego kroju, opinającym tęgą sylwetkę, Gustave Herbignac zapraszany był jakby dla podkreślenia kontrastu między nim a jego klientami, szczupłymi, aroganckimi, gładko wygolonymi oficerami w białych obcisłych mundurach. On sam, powodowany snobizmem, idącym u niego w parze z nosem do interesów, nieraz odczuwał pokusę, by upiększyć partykułą swoje nazwisko, które się wprost o to prosiło. Od czasu do czasu, przy wtórze śmiechu żony, w rozkosznych marzeniach widział się jako barona lub wicehrabiego d'Herbignac.

Wśród klienteli Gustave'a Herbignaca obok wielmożów austriackich i węgierskich byli też przemysłowcy, dziennikarze, profesorowie, przybysze z Serbii i Polski. Pew-

nego dnia w drodze z Niemiec do Rosji, lub na odwrót, zjawił się hrabia Wroński. Za następnego pobytu po kilku odegranych z uczuciem polonezach, kilku wieczornych spacerach po ogrodach cesarskiego Wiednia Piotr Wasiliewicz – łyzy, zdarta woalka, drobnomieszczańskie skrupuły damy, ciasteczka w herbaciarniach, słowiańskie zaklęcia nad Dunajem – został kochankiem Hortense.

Zamek Glangowness w Szkocji ma w sobie coś komicznego. Położony wśród wzgórz porośniętych wspaniałymi drzewami reprezentuje gotyk w wydaniu z roku 1830. Zniszczony co najmniej dwukrotnie i odbudowywany niemal kamień po kamieniu, w posiadaniu tej samej rodziny w kolejnych jej wcieleniach od pięciuset czy sześciuset lat, był dziedziczony niemal wyłącznie w linii żeńskiej. Na zaproszenie jego właścicieli, dalekich krewnych Plessis-Vaudreuilów, wielokrotnie w nim gościłem: dwa razy z dziadkiem, który chętnie tu przyjeżdżał zapolować na lisa lub cietrzewie, ale częściej sam lub z braćmi Romero przed drugą wojną światową i po niej. W czasach, kiedy Wroński spotykał się z Hortense Herbignac w wiedeńskich *Weinstuben*, a Jeremiasz Finkelstein oddawał się marzeniom nie wiedzieć o czym w starych stodołach i młynach w okolicach Lublina, w przepastnych komnatach zamku Glangowness lord i lady Landsdownowie wiedli w najwyższym stopniu konwencjonalne i odcięte od świata życie. Tutejsza egzystencja pod wieloma względami przypominała – w wydaniu może nieco sztywniejszym i bardziej dostatnim – tę, którą znałem z najwcześniejszych lat mojego dzieciństwa w Plessis-lez-Vaudreuil. Podobnie

jak Żydzi, jezuici, skrzypkowie i zawodowi rewolucyoniści międzynarodówka starej, zręczliwej i wyniosłej arystokracji funkcjonowała bezbłędnie. Warto byłoby zatrzymać się nieco dłużej przy tym temacie i poświęcić owemu zjawisku mikrosocjologiczne studium, w którym zamiast podążać ścieżkami czasu, zestawiloby się w przestrzeni styl życia starych rodów w krajach, w których rozkwitły, by następnie zmarnieć. Mogłoby się wtedy okazać, że z powodów natury geograficznej, historycznej, psychologicznej, a niewykluczone, że i moralnej, Landsdownowie – którzy zgodnie z obyczajem brytyjskim, z przyczyn niejasnych i kompletnie niezrozumiałych, a typowych dla angielskiej arystokracji, nazywali się także oraz przede wszystkim McNeill – byli bardziej od Plessis-Vaudreuilów otwarci na świat. Matka lorda Landsdowna w latach pięćdziesiątych czy sześćdziesiątych, oczywiście ubiegłego wieku, była wzbudzającą lęk awanturnicą, w której żyłach płynęła krew maharadzów i braminów. Ślady krwi brytyjskiej można było odkryć jedynie na jej rękach; wielu mniej lub bardziej otwarcie oskarżało ją o zgładzenie z pomocą wiernych sikhów pierwszej żony generała brytyjskiego, którego następnie poślubiła. *How ghastly! How frightful! Revolting! Appaling!* – wykrzykiwała w sześćdziesiąt lub siedemdziesiąt lat później miss Evangeline Prism, stara *nanny* Pandory, wtajemniczana z beztróskim chichotem w te rodzinne sensacje. Plessis-Vaudreuilowie przenigdy w świecie nie mogliby się pochwalić podobnymi przodkami – ani się takowych powstydzić. We wczesnych wiekach średnich, nie powiem, nawet jeszcze w czasach Odrodzenia... Ale żeby w XIX wieku! Jak zarazy unikaliśmy awanturnic

i cudzoziemek. Żeniliśmy się z kuzynkami, z bratanicami, z siostrami szwagrów. Z poślubianiem Żydówek, Niemek czy rozwódek musieliśmy czekać aż do końca wieku. Tymczasem jeszcze przed wstąpieniem na tron królowej Wiktorii zdarzali się Brytyjczycy, którzy brali sobie za żony Hinduski.

Przy czym tak się złożyło, że ta Hinduska była bajecznie bogata. Szmaragdy, ziemie, sługi, pałace oraz mnóstwo funtów szterlingów w starym banku w City. To właśnie owe szmaragdy pochodzące ze zbrodni umożliwiły lordowi Landsdownowi, starszemu synowi byłego generała wojsk indyjskich, renowację i utrzymywanie zamku w Glangowness, wniesionego mu w posagu przez młodą Szkotkę, niezbyt urodziwą i biedną jak mysz kościelna, za to znakomicie urodzoną.

Innej różnicy między Plessis-Vaudreuilami i Landsdownami upatrywać można było w milczeniu. My mówiliśmy rzeczy błahe, nieścisle, często niemądre. Ale mimo upodobania do długich chwil ciszy, kiedy to mogliśmy nie myśleć o niczym, jednak rozmawialiśmy. Landsdownowie – nie tak jak mój dziadek, chętnie od czasu do czasu wspominający *ancien régime*, wojsko czy polowania z naganką – milczeli. Prześwietna ta rodzina, używająca raz nazwiska Landsdown, raz McNeill – nie mówiąc już o rozlicznych innych tytułach używanych w sytuacjach ściśle określonych, a zarazem, dla nas przynajmniej, całkowicie niezrozumiałych – zdawała się dysponować skromniejszym zasobem słów potocznych na potrzeby codziennej pogawędki niż nazw własnych na określenie samych siebie. Opowiadano, że pod koniec życia eme-

rytowany generał i zbrodnicza Hinduska, niedowidzący i niemal głusi, zasiadając sztywno i w całkowitym milczeniu na krzesłach z wysokim oparciem po dwóch przeciwnych krańcach olbrzymiego stołu, sprawiali wrażenie istot z zaświatów, przybyłych, by dać temu światu lekcję poprawnych manier.

Sędziwą parę otaczało zewsząd mnóstwo ludzi. W kuchniach i stajniach zamku Glangowness można było spotkać licznych przedstawicieli dickensowskiej galerii postaci. Niekiedy nawet człowiek wybiegał myślą do Agathy Christie i jej przyszłych bohaterów. Szef służby z siwymi bokobrodami, francuskie pokojówki, stangreci sprowadzani z Bengalów, blisko dwumetrowi lokaje, stajenni, najczęściej Irlandczycy, miejscowe kuchciki – wszyscy oni tworzyli dwór, będący zarazem rodziną; Plessis-Vaudreuilowie nie mieli ich odpowiedników. W pomieszczeniach służby królowała niemal taka sama wyniosłość, co w wielkich salach i jadalni obwieszonych gobelinami i obrazami, które przedstawiały wydające ostatnie tchnienie dziki, zwisające za łapy bażanty oraz dzikie gęsi. W dziwny jednak sposób szła ona w parze ze swoistą prostotą. Wszystko razem składało się na wielkopańskość, której my, w Plessis-lez-Vaudreuil, stanowiliśmy jedynie prowincjalną, katolicką i zubożałą wersję.

Cechą charakterystyczną milczenia Landsdownów – a w pewnej mierze całej angielskiej arystokracji i w gruncie rzeczy większości Anglików – było pochrząkiwanie. Landsdownowie pomrukiwali, pochrapywali, postękiwali, poświstywali i pojękiwali, niemal w milczeniu dobywając z siebie onomatopeje i odgłosy, których znaczenie zrozu-

miało być jedynie dla wtajemniczonych. Etnologiczne studia nad arystokracją brytyjską, do których wniosło już swój cenny wkład tylu badaczy i pisarzy, zwłaszcza w dziedzinie ekspresji językowej – by wspomnieć tu słynny podział na *U* i *non-U* – powinny ustalić, czy ów specyficzny kod i owe sygnały dźwiękowe z pogranicza mowy artykułowanej były wspólne dla całej arystokracji brytyjskiej, często uprawiającej tego typu ćwiczenia, czy też zarezerwowane wyłącznie dla gatunku McNeillów i Landsdownów. Ja sam zetknąłem się w okresie międzywojennym czy to bezpośrednio, czy pośrednio z paroma próbkami tych nieprawdopodobnych odgłosów i skłonny jestem uważać, że nikt w świecie z wyjątkiem samych Landsdownów – nawet profesor Higgins o twarzy Rexa Harrisona, który w *Pygmalionie*, inaczej *My Fair Lady*, wtajemnicza w subtelności fleksji i pułapki języka angielskiego pannę Audrey Hepburn z domu Doolittle – nie byłby w stanie zrozumieć owych niewysłowionych poszczekiwań czy tego z rzadka przerywanego milczenia. Nie było rzeczy stosowniejszej, elegantszej, poprawniejszej niż ta nieokreślona granica między językiem a jego nieobecnością, w jakiej – chwiejni, sztywni, utykający i nieporuszeni – trwali w stanie uporczywej i niepewnej równowagi Landsdownowie.

Za dziesięć dni przypadało święto narodowe Paragwaju. Szef protokołu z niejakim zakłopotaniem powiadomił Ich Ekscelencje, że zostaną z tej okazji podjęci przez prezydenta, któremu towarzyszyć będzie mademoiselle Asunción, wyniesiona do godnej pozazdrosczenia pozycji jego oficjalnej kochanki. Celem uświetnienia owego wywyższe-

nia ustanowiony zostaje specjalny protokół; usilnie uprasza się Ich Ekscelencje, by się do niego zastosowali: prezydent i jego towarzysząca zasiadać będą na ustawionych na podwyższeniu, pokrytych czerwonym pluszem tronach; przed jednym i drugim tronem kolejno przedefilują dyplomaci i konsulowie; zgodnie z tradycyjnym protokołem oddadzą pokłon przed głową państwa oraz złożą mu życzenia chwały dla kraju i pomyślności osobistej; następnie przejdą przed tron, na którym zasiadać będzie pierwsza dama kraju, i na znak hołdu ucałują jej stopę.

Oświadczenie szefa protokołu powitało pełne konsternacji milczenie. Trwało kilka sekund, dziesięć, może dwadzieścia: wydały się wiecznością. Po czym nagle podniosła się gwałtowna wrzawa pomruków, okrzyków i zapytań. Toż to rzecz niesłychana, nie do przyjęcia, ultimatum, szantaż, niedopuszczalna prowokacja, bezprecedensowe upokorzenie, wypowiedzenie wojny cywilizowanym narodom.

– Panowie! – powtarzał szef protokołu. – Panowie!...

– *Unbearable!* – zawodził poseł Stanów Zjednoczonych, którego ojciec walczył u boku Washingtona. – To zamach na prawa człowieka i demokrację...

– Niedopuszczalne! – wtórował mu konsul francuski. – Nigdy jeszcze od 1789 roku i proklamacji nieśmiertelnych zasad...

– *Um Gottes Willen!* – czkało się konsulowi pruskiemu.

– *Unerträglich... Unbeschämt...*

– *Per la Madonna!* – nie posiadał się z oburzenia Włoch.

– Panowie! – powtarzał szef protokołu. – Panowie! Bardzo proszę...

Pierwszym odruchem całego korpusu dyplomatycznego było odwołać się a to do Foreign Office, a to do Staatskanzlei, a to do Departamentu itp. Ale jak zdobyć na czas niezbędne instrukcje? Podróż tam i z powrotem zajmowała dwa miesiące, tymczasem zostało już tylko dziesięć dni! Poseł hiszpański, magnat zesłany do Ameryki Południowej z niewiadomych powodów, a może po prostu z powodu swojej głupoty i przeciętności, jako pierwszy zdecydował się poświęcić honor na ołtarzu Hispanidad. Owszem, pójdzie, ale łańcuch Złotego Runa, któremu zawdzięczał godność granda i przynależność do jednego z najstarszych rodów Starej Kastylii, zostawi w domu w wyścielanym satyną puzderku.

– To, że u stóp kurwy – *a los pies de la puta*, oznajmił – mnie tam obojętne, ale mój baranek by tego nie zdzierzył.

Konsul francuski przeprowadził szybką kalkulację pod kątem swojej gaży, swojej kariery i swojej rodziny – w tej właśnie kolejności. Pan Duchaussoy de Charmeilles zyskał sobie niemal sławę z powodu depeszy, jaką wysłał do swojego ministra w okresie, kiedy był wicekonsulem w Czarnogórze. Syn jego, młodzieniec podówczas niespełna dwudziestoletni, zadurzył się namiętnie w pewnej francuskiej aktorce odbywającej tournée po Bałkanach. By zdobyć środki na sprowadzenie jej do Raguzy i zapewnienie utrzymania chociaż przez kilka dni, sprzedał tureckiemu kupcowi za marne grosze obraz, który był powodem do dumy – właściwie jedynym – francuskiego konsulatu w Cetinje, a przedstawiający wkroczenie marszałka Marmonta do Raguzy, dziś zwanej Dubrownikiem. Zamianie portretu marszałka Francji w wyimaginowanej Raguzie na

pobyt z istotą z krwi i kości w prawdziwym mieście, którego fortyfikacje opadały stromo w morze, nie brakowało pikanterii oraz pewnej dozy zdrowego rozsądku. Innego był jednak zdania inspektor wizytujący konsulaty, który, pech chciał, akurat w tym właśnie czasie odwiedził Czarnogórę. Zdenerwowany pan Duchaussoy de Charmeilles zmuszony był wysłać do swojego ministra ową sławetną depeszę, która wywołała wielkie rozweselenie w Departamencie, a zaczynała się tymi słowami: „Jego Eksceleńcja samej będąc ojcem zrozumie lepiej niż ktokolwiek...”.

W obliczu tego nowego dopustu – teraz już nie syn romansował z gwiazdą kabaretu, ale on sam miał całować nóżki damy z półświatka – pan Duchaussoy de Charmeilles, przez wszystkich swych drogich kolegów zwany „Samej będąc ojcem”, musiał podjąć szybką decyzję. Uznał, że najlepsze będzie rozwiązanie, które narobi jak najmniej szumu. Mając nadzieję, że w Pałacu Burbońskim, w Closerie des Lilas, gdzie czasami bywał, w małym miasteczku w departamencie Cher, gdzie spędzał wakacje, i już zwłaszcza wśród mieszkającej w Wandei rodziny żony nikt o niczym się nie dowie, postanowił pocałować nogę Mado z Maubeuge, która, było nie było, też przecież na swój sposób przyczyniała się do ekspansji cywilizacji francuskiej.

Włoch, śmiejąc się gromko, nie wahał się długo. Zamierzał uczynić nawet więcej niż to, czego od niego oczekiwano i, muskając stopę przystrzyżonym wąsem, popieścić przy okazji całą nóżkę. Zdradzając swój plan, puszczał oko i nie krył nadziei, że doświadczenie z tym niecodziennym pocałunkiem zdoła przekształcić w namiętny romans.

Na tarasie domu w Toskanii narrator wspomina barwne losy swoich przyjaciół: czterech pięknych i ekscentrycznych sióstr O'Shaughnessy i czterech ambitnych braci Romero.

Opowieść zaczyna się w drugiej połowie XIX wieku, kiedy w Brazylii zostaje zniesione niewolnictwo, po czym – zataczając coraz szersze kręgi – przenosi się w lata rewolucji październikowej w Rosji, powstania bokserów w Chinach, pogromów Żydów na wschodnich rubieżach Polski, wojen burskich, do Nowego Jorku, do Włoch, do Indii, do Meksyku... W tych burzliwych czasach rodzina Romerów, wywodząca się od skromnej czarnoskórej niewolnicy Florindy, rośnie w finansową potęgę, wchodząc w kręgi elity Argentyny, ród O'Shaughnessych zaś, którego korzenie sięgają królów Irlandii, powoli traci na znaczeniu, stając się malowniczym dekadentem reliktem „dawnych dobrych czasów”.

W pierwszych latach XX wieku dorasta kolejne pokolenie ich potomków. Siostry O'Shaughnessy i bracia Romero dopiero wracają na scenę, co nie znaczy, że nie zdążą zrobić na niej sporo zamieszania i walenie przyczynić się do utrwalenia złotej legendy lat międzywojennych.

O ich dalszych losach, ich kontrowersyjnych wyborach, bohaterskich czynach, miłościach i miłostkach oraz skandalach obyczajowych narrator – z epickim rozmachem – opowiada w kolejnych tomach trylogii.

www.marginesy.com.pl



9 788365 282231

cena 37,90 zł

PATRONAT



lubimyczytac.pl

ROOM